



Księżę nastroju, czyli postać z niestarej baśni

2017-01-26

Niewielu już krakowian pamięta, że kiedyś w Teatrze 38 - a był taki teatr - wystawiono „Starą baśń”. Tadeusz Kudliński, arcyznawca dziejów krakowskiego teatru napisał, iż była to pełna humoru, przekorna parodia operowej sztampy „Starej baśni”. Dlaczego operowa sztampa?

Michał Kozioł

Otóż Aleksander Bandrowski, działający na przełomie XIX i XX w. śpiewak o europejskiej czy wręcz światowej sławie, przerobił „Starą baśń” Józefa Ignacego Kraszewskiego na libretto. W Teatrze 38 z opery zrobiono z kolei spektakl kowbojski. Akcja sztuki toczyła się w „dzikozachodnim” saloonie, a Polanie znad Gopła występowali w westernowych kostiumach. Twórcą tego niezwykłego spektaklu, jego reżyserem i scenografem, był Mieczysław Świącicki.

Od premiery „Starej baśni” w stylu kowbojskim – cieszącej się wielkim powodzeniem i dobrymi recenzjami – upłynęło przeszło pół wieku. Przez te lata bardzo zmienił się świat i bardzo zmienił się Kraków, wielu ludzi oraz wiele zjawisk odeszło w niebyt i zapomnienie, a Mieczysław Świącicki nadal jest pod Wawelem bezbłędnie rozpoznawalną Postacią (w tym przypadku bezwzględnie konieczna jest duża litera!).

Z badać fenomen

Czym tłumaczyć niesłabnącą – pomimo upływu czasu – popularność „Księcia Nastroju”, taki to bowiem tytuł przed laty przyznano twórcy westernowej „Starej baśni”? Księżę jest niewątpliwie fenomenem. Jego styl, jego repertuar był aktualny przed sześćdziesięciu laty i jest aktualny dziś w zupełnie innych realiach społecznych i – jeżeli można użyć takiego określenia – artystycznych. Mieczysław Świącicki to zjawisko, które z pewnością zasługuje na to, aby nazwać je fenomenem. Wymaga wręcz analizy, która doprowadzi do jego wyjaśnienia. Jednak, zabierając się do realizacji tego postulatu, należy pamiętać o bardzo mądrej refleksji Melchiora Wańkowicza, który przed laty posłużył się żabą jako przykładem, do czego może doprowadzić zbyt drobiazgowo dociekanie do istoty jakiegoś zjawiska z obszaru nazywanego sztuką. Otóż ktoś młody lub bardziej dojrzały, lecz mało rozcarnięty, chcąc wnikać w istotę żaby, rozcina biednego płaza szczyrzykiem i w efekcie tego, zamiast pięknego, zielonego stworka ma tylko jakąś bezkształtną, odrażającą masę. Oczywiście nikt nie odważy się na porównywanie „Księcia Nastroju” z żabą. Chodzi jednak o to, że wybitne zjawiska artystyczne wymykają się mniej lub bardziej prymitywnym próbom oceniania i klasyfikowania. Jednak mimo tych zastrzeżeń trzeba przynajmniej spróbować wytłumaczyć przyczyny ponadczasowości zjawiska, jakim jest Mieczysław Świącicki.

Piwnica dla wybranych

Rozważania trzeba zacząć od „Piwnicy pod Baranami”, zjawiska, które narodziło się w przełomowym roku 1956. Rok ten przyniósł w Polsce ogromne zmiany. Rzeczą wręcz zdumiewającą jest powszechne dziś niedocenie tych zmian. Wydaje się, jak gdyby historycy i publicyści nie mieli dość odwagi, aby zmierzyć się z tym wszystkim, co wydarzyło się wówczas w Polsce. Jak powszechne było po Październiku 1956 uczucie ulgi, najlepiej świadczy zdanie, którym „Dziennik Polski” z 27 grudnia tamtego pamiętnego roku skomentował ówczesne święta Bożego Narodzenia: „możemy sobie śmiało powiedzieć, że już od wielu lat życzyliśmy sobie,



aby móc spędzić święta w t a k i m nastroju, jak właśnie w tym roku”. Mieczysław Świącicki był jednym z pierwszych „piwniczn” . Zaczął tam występować w 1956 r., czyli na samym początku istnienia kabaretu. Było to wtedy miejsce bardzo ekskluzywne, do które wstęp mieli tylko wtajemniczeni. Nie zapraszano profanów, ludzi z ulicy. Ta ekskluzywność wręcz niebotycznie podnosiła rangę „Piwnicy”. Zyskała ona taki sam status, jaki przed półwieczem miał funkcjonujący w Cukierni Lwowskiej Jana Apolinarego Michalika kabaret Zielony Balonik”, do którego także wpuszczano tylko wybranych, a wiadomo przecież, że zakazany owoc budzi szczególne pożądanie.

„Piwnica” programowo odcinała się od peerelowskiego dziedzictwa sprzed roku 1956. Jeżeli w jednym z pierwszych programów odczytywano tam autentyczne mowy wygłaszane przed Październikiem przez przodowników pracy, to czyniono to wyłącznie w celach prześmiewczych. Odwoływano się do zupełnie innych czasów i innej poetyki. W tę tendencję wpisał się po mistrzowsku Mieczysław Świącicki. Ważne było to, że śpiewał wspaniale, ale ważny też był repertuar. Oprócz nowych, „piwnicznych” piosenek, jak np. „Żongler dwusturęki” z tekstem Wiesława Dymnego czy „Ballada o ogonie” napisana przez Tadeusza Kubiaka, wspaniale interpretował repertuar pochodzący z zupełnie innych czasów, przede wszystkim z międzywojennego dwudziestolecia. W przypadku nowych piosenek ważna była wspaniała muzyka Zygmunta Koniecznego, jednak jakość ich słów była dla wykonawcy najbardziej istotna. Mieczysław Świącicki potrafi bezbłędnie rozróżniać słaby tekst od prawdziwej poezji i nigdy nie zhańbił się śpiewaniem kiczowatych, bzdurnych utworów. Jeżeli nawet w jego repertuarze znalazły się nie najlepsze piosenki rodem z międzywojnia, to jednak mistrzowska interpretacja pozwalała na zachowanie dystansu do banalnego, grafomańskiego tekstu.

Mistrz interpretacji

„Księżę Nastroju” kojarzony jest głównie z rosyjskimi romansami, które kiedyś śpiewał Aleksander Wertyński. Rzeczywiście interpretuje je Świącicki naprawdę po mistrzowsku. Potrafi się bezbłędnie wczuć w ducha epoki i rosyjską duszę, tak dla nas zagadkową, a jednocześnie fascynującą w swojej niezwykłej, dwubiegunowej naturze. Jednak w jego repertuarze jest też wiele polskich piosenek. Często są to rzeczy zupełnie zapomniane, wydawałoby się skazane na wieczne zesłanie nie tyle do zbiorowej niepamięci, ile bardziej na strychy, gdzie w starych kufrach leżą zakurzone nuty i programy kabaretów, których nazwy nikt już dziś nie pamięta. Jedną z ich jest piosenka „Szumiąły mu echa kawiarni”, której muzykę i słowa napisał Jerzy Boczkowski, twórca kabaretu Qui pro quo. Kiedyś bardzo popularna, po II wojnie światowej skazana na zapomnienie. Wykpił ją absolutnie i doszczętnie Konstanty Ildefons Gałczyński w jednym z tekstów swojej „Zielonej Gęsi”, pochodzącym z 1948 r. Nosi on tytuł „Idiota”. Ów tytułowy idiota jest nie tylko w sztok pijany, ale także niezadowolony z powojennej rzeczywistości. Powtarza bzdurną plotkę, że wywożą na wschód. Oczywiście nie ludzi, lecz spinacze. Tak, takie zwykłe, biurowe spinacze. Monolog kończył się słowami „Oto moja pierś grottgerowska. Tomasz, karabelę! Szumiąły mu echa kawiarni”. Czy dziś, po przeszło sześćdziesięciu latach, śpiewanie o „kawiarnianym lalusiu”, który na froncie zmienił się w dzielnego porucznika, który „stwardniał w boju niby stal” i do ataku „szedł jak na bal”, jest aktem odwagi? Wbrew pozorom chyba jednak tak i to nie tylko z powodów artystycznych, ale „Księżu Nastroju” nigdy nie brakowało odwagi. Odważnym bowiem trzeba być, aby przerobić „Starą baśń” na westernowy spektakl oraz śpiewać i w „Piwnicy pod Baranami”, i na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. Nie tylko śpiewać, ale poradzić sobie z publicznością, w



każdym miejscu inną, ale zawsze zasługującą na nazwę – jaką przed laty wymyśliła pewna diwa operowa – „nasz kochany potwór”. Świącicki potrafi czarować słuchaczy nie tylko głosem, nie tylko mistrzowską interpretacją, ale także słowem mówionym. Jego recitale, w czasie których inteligentny, dowcipny komentarz przeplatał się z piosenkami, były dla słuchaczy niezapomnianym wrażeniem. Nieraz owo wrażenie potęgowały niezwykle sceneria i okoliczności – na przykład wewnętrzny dziedziniec krakowskiego Muzeum Archeologicznego, czyli kiedyś więzienia św. Michała po zmroku. Uczestnikowi takich wydarzeń zostanie w pamięci także elegancki strój „Księcia Nastroju”, który zawsze z dobrym efektem dbał o swój wizerunek. Podobno w jednym z wywiadów prasowych miał oświadczyć, że jest posiadaczem przeszło trzech tysięcy krawatów. Rzecz to zupełnie prawdopodobna. Jeżeli zgadzamy się z twierdzeniem, że szlachectwo zobowiązuje, to przecież tym bardziej musi zobowiązywać do elegancji tytuł książęcy.